

P u ł a c z k a

W chwili wybuchu II wojny światowej miałam małą maturę. Brat mój Krzysztof ukończył 1-ą klasę gimnazjum. Oboje uczęszczaliśmy do Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Bielsku Podlaskim. Rodzice nasi mieszkali we wsi Czaje położonej między Brańskiem a Ciechanowcem. Ojciec był tam nauczycielem, kierownikiem szkoły, matka nauczycielką.

Tragedia wrześniowa przygnębiła nas bardzo, załamana. Wiadomości docierające do nas z Warszawy nie wróżyły nic dobrego. Kraj stał w ogniu wojny. Obraz tego, czym w te dni był kraj da się porównać tylko z obrazem pożaru w mrowisku. Drogami ciągnęły tysiące ludzi, głodnych i przerażonych. Był to czas powszechnej wędrówki na wschód i na zachód. Rząd opuścił kraj. W zaistniałych warunkach nie można było kontynuować walki.

Niemców właściwie nie widzieliśmy.

W kilka dni po wkroczeniu Sowietów pokazali się w naszej wiosce żołnierze o skośnych oczach, spłaszczonych nosach i wystających policzkach. Większość z nich nosiła karabiny na sznurkach, a płaszcze dołem wyszczerbione. Buty z brezentu śmierdziały dziegciem.

Zepchnięto nas w nową erę.

Już pierwsze aresztowania kazaly spodziewać się rzeczy najgorszych, które zresztą wkrótce nadeszły. Były to masowe deportacje.

O świcie do domów i chat stukali agenci NKWD i kazali się pakować.

20. czerwca 1941 roku o godz. 5-ej rano i do naszych drzwi zastukało

NKWD wraz z wiejską władzą. Po przeprowadzeniu w mieszkaniu rewizji

odczytano nam nakaz "pieresielenia" na tereny ZSRR. Zostawiono nam

mało czasu na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy, doradzono też

ubrać się ciepło, chociaż na dworze panował upał.

Dokąd nas wysiedlano nie podano w nakazie, ani też z jakiego powodu.

Nyśmy wiedzieli, że wywożą nas za ojca, który w marcu 1940 roku

zmuszony był salwować się ucieczką przed aresztowaniem. Zamieszkał

w Jaśle u matki i brata.

Wiadomo było, że punktem docelowym będzie Syberia. Już wcześniej odeszły tam transporty z Polski. Ciężkie to były chwile, bolesne, rozdzierające. Dziwne uczucie zagubienia i bezradności ścisnęło mi serce. Byłam niczym. Świat istniał dalej beze mnie.

Z Czajów wywieziono nas cztery rodziny, łącznie osiemnaście osób. W drodze przyszedł na świat dziewiętnasty człowiek.

Zawieźli nas podwodami do Brańska, a następnie ciężarówkami do Bielska Podlaskiego na rampę kolejową. Przesiedzieliśmy na niej do wieczora głodni i spragnieni wody, pilnowani przez milicję, na którą składali się ludzie z miejscowej mniejszości narodowej. Co chwila podjeżdżały ciężarówki z nowymi ofiarami. Spotkałam wtedy znajomych i koleżanki, którzy podzielili nasz los.

Zobaczyłam też Ritę Hirszberżankę, Żydówkę, koleżankę z klasy. Była na wolności. Żegnając się ze mną powiedziała: "nie wiem czyj los będzie lepszy." I rzeczywiście ja żyję, Rita zginęła w ghetcie.

Po południu podjechała ciężarówka z NKWD-istami, którzy z dużej listy wywoływali mężczyzn, mówiąc, że wkrótce wrócą. Wieczorem za-ryglowane wagony wiozły nas na wschód przy akompaniamencie płaczu rodzin, od których odłączono ojców, synów i braci. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że w trzy dni później w czasie ucieczki sowieckiej a administracji i sił bezpieczeństwa zostali rozstrzelani i pochowani we wspólnej mogile gdzieś pod Zabłudowiem.

Jechaliśmy w atmosferze zagrożenia wojennego, ponieważ w dwa dni po naszym wywiezieniu, 22.czerwca 1941 r. Niemcy napadli na ZSRR i w szybkim marszu parli na wschód. Transport nasz zatrzymywał się na stacjach, skąd odjeżdżały wojska na front żegnane przez tłum rozpaczających kobiet i dzieci. Nie mogliśmy pojąć jak w takiej chwili mogła jednym i drugim przygrywać harmoszka i w rezultacie nie wiedzieliśmy czy oni rozpaczali czy cieszyli się.

A tymczasem nasz pociąg towarowy pędził, sapał, pokonywał ogromne odległości i wysokości. Przed nami wyrastał w całym swym majestacie grozy Ural.

Nie mogąc spać już od godziny 4-ej rano siedziałam przy okienku naszego wagonu i nagle zobaczyłam skup w rodzaju pomnika, a na nim napis z jednej strony Jewropa, a z drugiej Azja. Pociąg mknął zdawało mi się jeszcze szybciej i wkroczyliśmy w krainę całkowicie nieznaną, obcą, dziką. Rozplakałam się.

Nikt tego nie widział. Wszyscy spali, zmęczeni, głodni i zrezygnowani. Minęliśmy Kazachstan porośnięty morzem piołunu, pusty, bezładny. Mijaliśmy góry, wpadaliśmy w długie, ciemne tunele. Co dwa - trzy dni przynoszono nam w wiadrach zupę, która po zamknięciu wagonów była wylewana - nie nadawała się do jedzenia. Każdy dojadł to, co zdążył zabrać z domu, co było wcześniej miesiącami całymi przygotowywane na tę okoliczność, a co pozwolili mu wziąć oprawcy.

Spaliśmy na pryzkach ściśnięci jak śledzie w beczce. Pewnej nocy kobieta z Czajów zaczęła rodzić. Rano na postoju wezwano lekarza, który stwierdził, że wszystko jest w porządku. Chłopak wyżył.

Po dwutygodniowej podróży znaleźliśmy się w Ałtajskim Kraju, w mieście Bijsk leżącym nad rzeką Biją. Dalej pociąg nie szedł, nie było torów. Kazano nam opuścić wagony: "Dawaj, dawaj, skariej!" i wykrzykiwali milicjanci i bojcy, nasi konwojenci. Z rodzinami i tobołkami znaleźliśmy się na peronie. Za nami stał taki sam transport z Litwy. Też przeważnie kobiety, dzieci i starcy.

Gdy tak siedzieliśmy na tobołkach podszedł do nas mężczyzna w czarnym ubraniu, wysoki, szczupły w średnim wieku, za nim w tym samym wieku grubas w towarzystwie uderzająco brzydkiej kobiety. Pierwszy z nich zapytał czy ktoś z nas umie pisać po rosyjsku. Z całego naszego wagonu sztukę tę posiadałam ja. Gdy w 1939 roku wkroczyli do Polski sowieci, ojciec zaczął uczyć się alfabetu rosyjskiego, czytania i nam kazał robić to samo, dzieciom. A więc znałam alfabet, z czytaniem było gorzej, nie mogłam opanować akcentu.

Gdy więc mężczyzna zapytał o znajomość ich alfabetu, zgłosiłam się. Kazał mi sporządzić w trzech egzemplarzach spis "pasażerów" naszego wagonu. Podobno w trójkę stali za moimi plecami i kiwali z podziwu

głowami nad moją mądrością. Następnie zapytali o moje nazwisko, zabrali listy i odeszli.

Obok stały sznury furmanek. Rozwożona nas do kolchozów i sofchozów. Trudno nam było dogadać się z woźnicami, którzy najwyraźniej byli zdziwieni widokiem kobiet i dzieci. Powiedziano im, że jadą po polskich panów - obszarników. Każdy z nich miał zardzewiały, pamiętający zapewne czasy carycy Katarzyny karabin.

Przydzielono nas do obozu "Proletarka", oddalonego od Bijska o 120 kilometrów. Po dwu dniach jazdy dotarliśmy do celu. Rozmieszczono nas w drewnianym, piętrowym domu w pokoju z kuchnią o łącznej powierzchni 15 m<sup>2</sup> i przydzielono nam <sup>współ</sup> na lokatorów dwie jeszcze rodziny. W sumie było nas w tym mieszkaniu 13 osób. Pod ścianami stały prycze, po środku stół i ani centymetra wolnego miejsca. Poruszać się trzeba było po pryczach.

Pozostałe rodziny mieszkały w podobnych warunkach. Pierwsze kroki skierowaliśmy do "bani" czyli łaźni, a następnie po chleb i mleko. Chleba nie kupiliśmy z braku rubli, na mleko wymieniliśmy jakieś ciuchy. Jakie było moje zdziwienie kiedy następnego dnia w osobie dyrektora sofchozu Nikulczikowa rozpoznałam mężczyznę w czarnym ubraniu z rampy w Bijsku, a w jego zastępcy grubasa.

Tego dnia wysłano nas "zdolnych" do pracy w góry, 20 km od sofchozu, oczywiście piechotą. Podwoda wiozła nasze rzeczy. Matka moja została zwolniona z tego obowiązku ze względu na zły stan zdrowia, siostra była małoletnia. Kazano nam pobudować szałas z gałęzi brzoźowych, zwane w języku tutejszym "bałaganami", w których mieliśmy mieszkać do przymrozków. Praca nasza polegała na koszeniu wysokiej trawy, suszeniu jej i układaniu w stogi. Pilnował nas 70-letni starszek - dieduszka Biedariow z dwoma wnukami, podrostkami. Mieszkałi oni w osobnym szałasie.

Codziennie przyjeżdżał konno komendant milicji Michał Kozakow, człowiek ponury i zły, którego należało się obawiać. Gonił nas do roboty bez oddechu. Prawie codziennie kontrolował nas dyrektor Nikulczikow.

Pojawiał się niespodziewanie na koniu w swoim czarnym ubraniu, białych skarpetkach i kaloszach. Tak, w kaloszach, bez butów. Raz zobaczyłam go ukrytego na górze za drzewem. Kontrolował czy i jak pracujemy.

Jeden z wnuków Biedariowa, Wanka, budził nas przed wschodem słońca a my mokrzy od rosy kosiliśmy bujną trawę do śniadania, które przygotowywała na ognisku każda z nas kolejno. Przerwa była również na obiad i kolację. Grupa nasza liczyła 10 osób. Z Proletarki codziennie rano przywożono nam chleb - 70 dkg pracującemu i kaszę jaglaną, którą gotowaliśmy na obiad na wodzie ze strumyka. Sniży się nam po nocach kartofle, których tam jeszcze nie było, dojrzewały później. Wiele też spadło do altajskiej trawy zanim nauczyłam się kosić i przywykłam do pracy ponad siły kobiety. Złamałam też niejedną kosę. A kosy były wiekowe, przypominały karabiny naszych wozaków. Krzysztofowi jeszcze trudniej szła ta zaszczytna praca.

W każdą sobotę szliśmy "na krótsze ścieżki" do domu, aby umyć się, zmienić bieliznę i zjeść coś innego niż kaszę jaglaną. W sowchozie był sklepik spożywczy, jednak bardzo słabo zaopatrzony, ale chleb i cukier, kawę zbożową można było w nim kupić. Na stopniach sklepiku przesiadywał stale anormalny Kola, ubrany w łachmany, latem i zimą jednakowo, przez które przeświecało gołe ciało. Miał około 15 lat, oprócz siostry Duni nie miał nikogo. Nie umiał mówić bełkotem. Jadł to, co mu ludzie dali. Siedział zawsze na progu sklepiku z wyciągniętą ręką prosząc pytaniem-bełkotem: *miełkije dziengi jest?* Jeżeli nie dostawał kopiejek lub kawałka chleba opluwał daną osobę. Latem widziałam go często brodzącego po rzeczulce, przepływającej przez Proletarkę, jak łowił małe rybki rękami i zjadał je surowe na miejscu. W zime spał w starym opuszczonym baraku w piecu. Dunia nie interesowała się nim, sama zarabiając nędzne pieniądze. Była dziewczyną normalną, ładną.

Po miesiącu pracy kazano nam zgłosić się do kancelarii po wypła-

tę, zarobiłam na tych sianokosach 7 rubli, co równało się cenie siedmiu litrów mleka! Inni zarobili o kilka rubli więcej lub też tyle samo.

Pamiętam było to na początku sierpnia 1941 roku. Jak zwykle w porze obiadowej przyjechał do nas dyrektor Nikulczikow. Rozmawialiśmy o zimie, co będziemy robić. Na moje pytanie odpowiedział: "jeśli zasłużysz, będziesz dojarką". Nie dostąpiłam jednak tego zaszczytu. Nagle zmienił temat rozmowy i oznajmił nam, że polski generał Władysław Sikorski i minister Kot zawarli na Kremlu w dniu 30 lipca układ polsko-radziecki, na mocy którego staliśmy się znowu wolnymi obywatelami i możemy poruszać się swobodnie po terytorium ZSRR z wyjątkiem pasa granicznego.

Nie wierzyliśmy mu, musiał to udowodnić komunikatem z gazety. Radość nasza nie miała granic, a wdzięczność dla człowieka, który przyszedł z pomocą półtoramilionowej rzeszy polskich zesłańców przebywających w ZSRR rozsadzała piersi.

Wolność ta okazała się iluzoryczna. Nie posiadając żadnych środków do życia byliśmy adscripti /przywiązani/ do miejsc swego zamieszkania i pracy.

Nadeszła jesień. Przerzucono nas jeszcze dalej w góry, gdzie pracowaliśmy przy zbiorze zboża, zamieszkując nadal w szałasach. Na zimę ściągnięto nas do sowchozu. Część Polaków, między innymi ja i Krzysztof zostaliśmy wyznaczeni do kopania rowu pod przyszłą elektrownię. Mroz dochodził do  $-35^{\circ}\text{C}$ , ziemia zmarznięta i do tego kamienista. Mieliśmy wyznaczoną normę dzienną: 3 metry długości, 1,5 metra głębokości i 2 metry szerokości. Stałam cały dzień na mrozie i waliłam łomen, a wydłubałam zaledwie dołek wielkości i głębokości miednicy. Krzysztof to samo. Za karę na drugi dzień nie dano nam chleba i 1 kg mąki owsianej.

Nosiłam się z zamiarem przeniesienia do Altajsk, położonego 20 km od Proletarki. Było to małe miasteczko, w którym była 10-letka /odpowiednik polskiej szkoły średniej/, komitet partyjny, rada miejs

7

ka, dwie fryzjernie i kilka sklepów zamkniętych z braku towarów, w dwu sklepach wydawano przed południem chleb na kartki, a miejscowym dodatkowo cukier, mydło, zapaliki, tłuszcze. Nam tylko chleb.

Zgłosiłam dyrektorowi, że wyjeżdżamy. Kilka rodzin zrobiło to wcześniej, niektórzy pojechali aż do Bijska. Początkowo nie chciał się zgodzić. Później ustąpił, dał nawet furmankę na przewiezienie rzeczy i przygotowanego własnoręcznie przez mnie i Krzysztofa drzewa na opał.

Wcześniej poszłam piechotą do Ałtajska, gdzie mieszkali już Polacy i wynajęłam pokój ze wspólną kuchnią u Rosjanki Zajcewej. Mąż jej zginął na froncie, 13-letniego syna, Kola zmobilizowali do pracy w fabryce amunicji w Barnaule. W domu została córka Rajka i syn Anatolij, uczniowie szkoły podstawowej. Po roku wrócił Kola nieuleczalnie chory psychicznie. Pracowali bowiem ciężko bez odpoczynku w dzień i w nocy przy złym odżywianiu. Nie otrzymał renty, nikt się nim nie opiekował oprócz matki.

W tym czasie Zajcewa wymówiła nam mieszkanie, zmuszona do tego przez władze miejskie. U wdowy po poległym żołnierzu nie mogli przecież mieszkać "pieresielenicy - miastieźnyje Polaki" /przesiedleńcy - buntowniczy Polacy/.

Wynajęłam izbę zrobioną z piwnicy, w której mieszkaliśmy do repatriacji. W zimie śnieg leżał na progu i na oknie od wewnątrz. Izba była bez sieni, a okno zrobione z kawałków szkła znajdowało się tuż nad ziemią. Wszyscy spaliśmy na dużym "ruskim piecu". Na razie nie pracowaliśmy. Żyliśmy ze sprzedaży ciuchów. W końcu wezwano nas do zarządu miejskiego i dano pracę przy kopaniu rowów.

Była wiosna i skończyła się praca przy rowach. Znowu nic nie zarabialiśmy. Pewnego dnia dostałam skierowanie do swowchozu Ojro-tura do orki bykami. Struchlałam, z płaczem pobiegłam do naszego przewodniczącego, który poszedł do komitetu i załatwił, że zostałam na miejscu. Dano mi pracę we fryzjerni w charakterze sprzątaczkii. Krzysztof zaczął pracować w piekarni, rąbał drzewo, ale chleba nie

przynióśł więcej niż "pajok" /przydział, duża kromka/.

Ciuchy, które wymienialiśmy na żywność kończyły się i zaczynał nam doskwierać głód. Jedno co nas trzymało przy życiu to wiadomości z frontu o odwrócie Niemców. Gdyby nie to nie warto byłoby żyć.

Mrozy dochodziły do  $-35^{\circ}\text{C}$ , upały do  $+30^{\circ}\text{C}$ . Wszy atakowały nas zaciekłe. Brak było mydła. Przed pójściem spać przeglądałam bieliznę swoją i matki aby wytłuc wszy.

Wieczorami i po nocach przy knotku palącym się w buteleczce z benzyną robiłam Kosjankom swetry i chusty na drutach w zamian za mleko i kartofle.

Tymczasem wydarzenia polityczne toczyły się w szybkim tempie. 30 lipca 1941 r. gen. Władysław Sikorski podpisał układ o pomocy wzajemnej i współpracy ze Związkiem Radzieckim, a następnie w grudniu tegoż roku deklarację w sprawie rozbudowy Armii Polskiej w ZSRR. Skolei latem 1942 roku gen. Władysław Anders wyprowadził tę armię do Iranu. W 1943 r. wynikła sprawa katyńska w rezultacie której doszło do zerwania stosunków ZSRR z rządem polskim w Londynie, nota iż rząd sowiecki od dawna szukał pretekstu do zerwania tych stosunków. Najgorsze miało dopiero nastąpić. Otóż 4 lipca 1943 r. ginie w katastrofie lotniczej w Gibraltarze gen. Władysław Sikorski. Tragiczna śmierć naczelnego wodza i premiera okryła żałobą cały polski naród, wycisnęła z naszych oczu łzy boleści i żalu. Wielki Polak, opatrnościowy mąż stanu, oszedł nie doprowadziwszy do końca swoich zamierzeń.

Poculiśmy się bardzo osamotnieni.

Tymczasem pracowaliśmy fizycznie zarabiając marne kopiejki, przymierając głodem, marząc w nędznej chałupinie, tłukąc wszy i tęskniąc za Ojczyzną.

W marcu 1943 r. powstał w Moskwie z inicjatywy komunistów polskich, którym przewodziła Wanda Wasilewska Związek Patriotów Polskich a następnie I Dywizja Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, która



9

12-13 października 1943 r. stoczyła pod Lenino pierwszą bitwę z Niemcami.

Krzysztof znalazł się w I Dywizji. Była to jedyna wówczas szansa ocalenia, tj. wyjścia z granic ZSRR. Nadzór polityczny nad armią sprawowało NKWD i ZPP. Jako szeregowiec przeszedł szlak bojowy od Lenino do Kołobrzegu, gdzie został ciężko ranny i do wojska już nie powrócił. Po 30-u latach został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski.

ZPP stał się zaczątkiem rządu polskiego na wschodzie, jakkolwiek w ulżeniu naszej wygnańczej doli niewiele zdziałał.

I tu cofnę się wstecz. Gdy armia Andersa opuściła Związek Radziecki wezwano wszystkich zesłańców z Polski na terenie całego ZSRR do NKWD w celu nadania obywatelstwa sowieckiego.

Ogarnęła nas panika. Obywatelstwo, znaczy pozostanie tu na stałe. Tłumaczono nam, że właśnie kto przyjmie obywatelstwo ten wróci, w przeciwnym razie grozi mu wyrok dwu lat więzienia, a właściwie łagru. Nie wierzyliśmy im. Tysiące Polaków zapiekniło więzienia i po dwu latach po powrocie z obozów, przyjęli obywatelstwo sowieckie. W Ałtajsku do łagru poszło pięć osób, reszta przyjęła obywatelstwo i w 1946 r. po przejściu t.zw. "opcji" wróciła do kraju.

Ja wraz z bratem Krzysztofem przesiedziałam w więzieniu trzy tygodnie.

Jesienią 1944 r. poważnie zachorowałam. Wezwana lekarka nie potrafiła postawić diagnozy, nie zapisała żadnych lekarstw, ponieważ ich nie było. Po tygodniu zabrano mnie do szpitala zakaźnego, podejrzewając paratyfus. Ofiarą nożyc padły moje długie włosy - warkocz. Miesięczny pobyt w szpitalu nie przyniósł poprawy, a ja kończyłam się nerwowo z powodu myszy, które w nocy kaziły po moim kółku. Po 35-u dniach wróciłam do domu na własną odpowiedzialność, słaba i łysa.

Głód doskwierał nam dzień i noc. Od 1942 r. zmniejszono bowiem dzienne racje chleba na kartki: pracujący otrzymywał 300 gram dzien-

nie, niepracujący - 100 gram.

Matka i siostra nie pracowały.

Mimo tych trudności pod koniec 1944 r. serca nasze wypełniała radość i nadzieja. Wyzwolono wschodnią część Polski. Otrzymaliśmy pierwsze listy od rodziny, od ojca. Wszyscy żyli. Wyślane do nas paczuszki nigdy tu nie dotarły.

Nadszedł maj 1945 roku. 9 maja byłam na bazarze, gdy przez głośnik usłyszałam komunikat o zakończeniu wojny. Jak szalona pobiegłam do domu by oznajmić radosną nowinę matce i siostrze. Płakałyśmy ze wzruszenia.

Od tego momentu dni nasze wlokły się niezmiernie wolno. Byłyśmy pełne obaw co do możliwości powrotu do swoich bliskich. W tym niepokoju dotrwałyśmy do połowy marca 1946 r., a z nim radosnego powrotu do kraju.

Wracałyśmy znowu transportem towarowym, głodne, obdarte, wychudzone ale radosne. Jechaliśmy cały miesiąc. Gdy wjechaliśmy na teren Ukrainy pociąg nasz otoczyło wojsko i milicja i w takiej asyście dotarliśmy do granicy polskiej.

Pierwszy postój na ziemi polskiej wypadł nam w Bełżcu. Dzień był piękny, wiosenny - 20 kwietnia 1946 roku.

Wylęgliśmy wszyscy na murawę, z płaczem całując ojczyzną ziemią. Mieliśmy otrzymać pierwszy od miesiąca obiad, nagle zjawili się na koniach dwaj żołnierze krzyżując: do wagonów, do wagonów! szybko! i pomknęli dalej.

Ledwo zdążyliśmy się ukryć w wagonach pociąg ruszył, rozległy się strzały. Dopiero w drodze dowiedzieliśmy się, że pod naszą lokomotywę podłożono minę. Zrobili to członkowie UPA, a zauważeni przez naszych żołnierzy salwowali się ucieczką w okoliczne lasy ostrzelując się. Podobno jeden z naszych żołnierzy zginął.

Witaliśmy ze wzruszeniem polską ziemię, ale też ze łzami w oczach rozbite pociskami artyleryjskimi miasteczka, spalone wsie

11

i poletka uprawne, które niosły ulgę naszym oczom po monottonych przestrzeniach sowieckich kołchozów.

Mimo olbrzymich zniszczeń witała nas polska wiosna w pełnym rozkwicie.

Wracaliśmy do swoich i to nazywamy szczęściem, że wracaliśmy żywi i cali.

Nikogo nie obchodziły wtedy nasze zranione dusze.

Jasło, jesień 1931